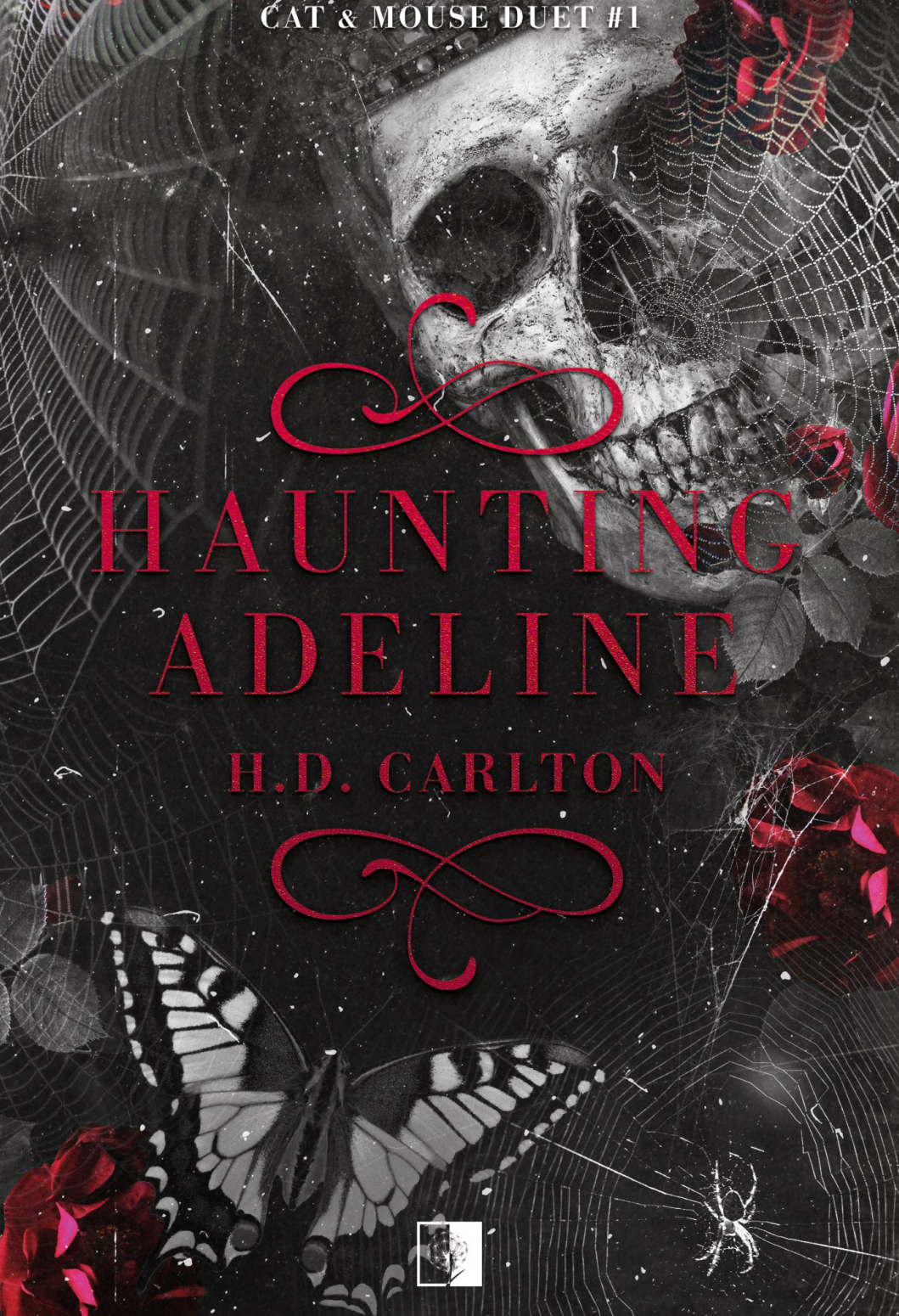


CAT & MOUSE DUET #1



HAUNTING
ADELINE

H.D. CARLTON



Tytuł oryginału
Haunting Adeline
Copyright © 2021 by H.D. Carlton
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
Oświęcim 2023
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Anna Łakuta

Korekta:

Sara Szulc

Edyta Giersz

Joanna Boguszewska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-246-0

H.D. CARLTON

HAUNTING ADELINE

CAT AND MOUSE DUET #1

**TŁUMACZENIE
PAULINA WIĘCEK**

OŚWIĘCIM 2023

Dla Amandy i May.

Wasi na zawsze,

ja i Zade

Playlista

do słuchania w trakcie lektury

Hish – *Evil*

So Below – *Sway*

Boy Epic – *Dirty Mind*

Croosh – *Lost*

Vi – *Victim*

The Weeknd – *Pretty*

The Weeknd – *Loft Music*

Something Better – *The Broken View*

Sam Tinnesz – *Play with Fire* (feat. Yacht Money)

TRIGGER WARNING

Po pierwsze: **TA KSIĄŻKA KOŃCZY SIĘ CLIFFHANGEREM.** Jeśli za nimi nie przepadacie, na miłość boską, nie czytajcie jej i nie piszcie mi potem niepochlebnych recenzji, narzekając w nich, że nie lubicie takich zakończeń. OSTRZEGAŁAM.

Po drugie: to książka z gatunku „dark romance” poruszająca takie tematy jak stalking, sceny typu „noncon” lub „dubcon” (czyli oparte na gwałcie lub takie, w których można mieć wątpliwości co do tego, czy obie strony wyraziły zgodę na stosunek), szczegółowo opisane akty przemocy, a także sytuacje o charakterze seksualnym.

Wiele sytuacji o charakterze seksualnym. Serio wiele.

Jestem kobietą zakochaną w bohaterze, którego stworzyła, okej? Jeśli tylko przydarzała się okazja, by zobaczyć jego penisa, wykorzystywałam ją.

Jeśli więc którykolwiek z tych tematów jest dla was trudny, wywołuje w was jakikolwiek dyskomfort, proszę, nie czytajcie tej książki.

Tak naprawdę nie tym się jednak martwię. Wiem, że te kwestie dla niektórych z was mogą być wręcz zachęcające. Wiem też, że niektórzy autorzy nie lubią zamieszczać zbyt obszernych ostrzeżeń, bo chcą, by czytelnicy mogli zaskoczyć się treścią. Rozumiem to, ale w przypadku tej konkretnej książki czułabym się źle sama ze sobą, gdybym nie wyraziła się bardzo jasno co do tego, co w niej zastaniecie.

Przenigdy nie chciałabym, żeby lektura moich książek stała się dla kogokolwiek źródłem traumy, czy to nowej, czy przeży-

wanej na nowo. A jeśli mam być szczerą, tematyka, którą zdecydowałam się poruszyć, jest mocno spierdolona.

Jeśli wciąż chcecie się zaskoczyć treścią – przestańcie czytać w tym miejscu.

.
. .
. .
. .
. .
. .
. .
. .
. .
. .
. .

Haunting Adeline porusza problem handlu ludźmi. Głównie dziećmi. Porusza też temat teorii spiskowych związanych z rządem, ofiarami z dzieci i kanibalizmem. Zadbłam o to, by oszczędzić wam najokropniejszych szczegółów, ale jednocześnie nie zakłamywać rzeczywistości i opisać bez ogródek to, co dzieje się obecnie na świecie.

Jeśli mieliście już do czynienia z moją twórczością, wiecie, że nie owijam w bawełnę i pokazuję realia takimi, jakimi są. Ta książka nie będzie wyjątkiem.

Umierają w niej dzieci.

Co prawda nie dzieje się to w obecności głównej bohaterki, ale on to widzi i opisuje.

Tak więc, drogie czytelniczki, czytelnicy, osoby czytające – jeśli zdecydujecie się czytać dalej, robicie to wyłącznie na własną odpowiedzialność.

Nie wykluczam, że po skończeniu lektury odkryjecie, że wpadliście po uszy.

Nadzieja umiera ostatnia, no nie?

+48 22 628 01 20

Krajowa infolinia ds. handlu ludźmi
National Human Trafficking Hotline

PROLOG

Ściany domu zadrżały od siły grzmotu, który wstrząsnął niebem. W oddali przecięła je błyskawica, rozjaśniając ciemną noc. Przez trwającą kilka sekund chwilę oślepiające światło ujawniło postać mężczyzny. Stał przed moim oknem.

I mnie obserwował. Jak zawsze.

Wszystko potoczyło się dokładnie tak samo. Serce zamarło mi w piersi, by następnie wpaść w dziki galop. Oddech stał się płytki, dłonie zwilgotniały. Nieważne, jak wiele razy już go widziałam – niezmiennie udawało mu się wywołać we mnie tę samą reakcję.

Strach.

I ekscytację.

Nie wiedziałam, dlaczego tak mnie to kręciło. Coś musiało być ze mną poważnie nie tak. Przecież nie miałam w zwyczaju czuć się tak, jakby zamiast krwi żyłami przepływał mi ciekły żar, zostawiając za sobą przyjemne łaskotanie. Nie miałam w zwyczaju pozwalać, by myśli biegły własnym torem, zajęte tym, czym zdecydowanie nie powinny.

Czy mnie widział? W tej cienkiej koszulce na ramiączkach? Ze sterczącymi sutkami? W spodenkach, które ledwie zakrywały mi pośladki?

Czy podobał mu się ten widok?

Oczywiście, że tak.

To dlatego mnie obserwował. Dlatego wracał każdej nocy, coraz śmielszy. Rzucałam mu milczące wyzwanie. Miałam nadzieję, że podejdzie bliżej. Na tyle blisko, by usprawiedliwić przyłożenie mu noża do gardła.

Prawda była taka, że się go bałam. Właściwie to byłam przerażona.

Ale ten człowiek, ten stojący za moim oknem człowiek sprawiał, że miałam wrażenie, jakbym siedziała w ciemnym pomieszczeniu, z telewizorem jako jedynym źródłem światła. Na ekranie rozgrywał się horror. Czułam się sparaliżowana ze strachu, miałam ochotę się schować, ale jednocześnie jakaś część mnie chciała pozostać na miejscu, kazała patrzeć dalej. Czerpała z tego dziwną przyjemność.

Znowu zrobiło się ciemno. Burza się oddalała.

Oddech przyspieszał mi coraz bardziej.

Nie widziałam go, ale on mnie tak.

Oderwałam oczy od okna i obejrzałam się za siebie. Musiałam się upewnić, że nie udało mu się dostać do środka.

Nieważne, jak daleko sięgały cienie okalające Dwór Parsonów, podłoga w czarno-białą szachownicę zawsze pozostawała widoczna. Odziedziczyłam tę posiadłość po dziadkach. Pradziadkowie zbudowali ten trzypiętrowy, wiktoriański budynek jeszcze we wczesnych latach czterdziestych, na krwi, pocie, łzach, a także życiu pięciu robotników.

Legenda – albo raczej moja babcia, którą nazywałam Naną – głosi, że jeszcze na etapie budowy wybuchł pożar, w którym zginęli ludzie. Nie udało mi się znaleźć żadnych informacji na te-

mat tego nieszczęśliwego wypadku, ale dusze, które nawiedzały to zamczysko, dosłownie cuchnęły rozpaczą.

Nana lubiła opowiadać pompatyczne historyjki, na które rodzice przewracali oczami. Mama nigdy nie uwierzyła w żadne jej słowo. Z perspektywy czasu uważałam, że powodem nie była ich nieprawdziwość. Ona po prostu nie chciała w nie wierzyć.

Czasami, najczęściej w nocy, rozlegały się odgłosy kroków. Może to duchy tragicznie zmarłych robotników sprzed osiemdziesięciu lat. A może cień, który stał przed moim domem.

I mnie obserwował.

Jak zawsze.

1

MANIPULATORKA

Czasami potrafiłam mieć naprawdę niepokojące myśli na temat swojej matki. Takie, których żadna rozsądna córka nigdy mieć nie powinna.

Ale ja nie zawsze byłam rozsądna.

– Addie, nie wygłupiaj się – zgaśniła mnie przez głośnik.

W reakcji spiorunowałam telefon wzrokiem. Nie zamierzałam wdawać się w kłótnie z matką. Gdy nic nie odpowiedziałam, głośno westchnęła. Zmarszczyłam nos. Nie mieściło mi się to w głowie. Zawsze nazywała zachowania babci dramatyzowaniem, ale nie widziała, że sama też miała do tego wrodzony talent.

– To, że dziadkowie dali ci ten dom, nie oznacza jeszcze, że koniecznie musisz w nim mieszkać. Jest stary, a mieszkańcom miasta byłoby na rękę, gdyby go w końcu zburzono.

Uderzyłam głową o zagłówek i wzniosłam oczy ku niebu, szukając tam resztek cierpliwości. Albo raczej ku pobrudzonemu dachowi mojego auta.

Jakim cudem znalazły się tam plamy po keczupie?

– To, że ty go nie lubisz, nie oznacza jeszcze, że nie mogę w nim mieszkać – odpowiedziałam szorstko.

Moja matka była zwykłą jędzą, i tyle. Zawsze miała pretensje do całego świata, a ja nigdy nie potrafiłam zrozumieć, z jakiego powodu tak się działo.

– Ale będziesz mieszkać aż godzinę drogi od nas! Odwiedzanie nas będzie dla ciebie o wiele trudniejsze, nie uważasz?

Och, nie. Jak ja to przeżyję?

Gabinet mojej ginekolożki również znajdował się godzinę drogi ode mnie, a jakoś co roku ją odwiedzałam. Mimo że te wizyty były o wiele boleśniesz.

– Nie – odpowiedziałam krótko.

Miałam dość. Zwykle wystarczało mi cierpliwości na około sześćdziesiąt sekund rozmowy ze swoją rodzicielką. Później już tylko jechałam na oparach, nie wykazując żadnej chęci włożenia jakiegokolwiek wysiłku w podtrzymanie dalszej wymiany zdań.

Jak nie to, to tamto. Zawsze znajdowała sobie jakiś temat do narzekania. Tym razem chodziło o to, że zdecydowałam się zamieszkać w odziedziczonym po dziadkach domu. Wychowałam się w Dworze Parsonsów, biegając z duchami po korytarzach i piekąc ciasteczka razem z babcią. Miałam same miłe wspomnienia związane z tym miejscem – wspomnienia, z których nie zamierzałam rezygnować tylko dlatego, że moja mama nie dogadywała się ze swoją mamą.

Początkowo nie potrafiłam zrozumieć tego napięcia między nimi, ale potem, gdy trochę dorosłam i zaczęłam dostrzegać w komentarzach mamy tak typową dla niej kaśliwość i pasywną agresję, przestałam się dziwić.

Nana zawsze miała optymistyczne podejście do życia. Patrzyła na świat przez różowe okulary. Podczas gdy ona nieustannie uśmiechała się i nuciła pod nosem, twarz mamy zdobił permanentny grymas. Zupełnie jakby okulary, przez które widziała otaczającą rzeczywistość, uległy pęknięciu już w momencie, gdy wydostawała się z pochwy babci. Nie miałam pojęcia, dlaczego rozwój charakteru tej kobiety zatrzymał się na poziomie kolczatki. Przecież nie tak ją wychowano.

Kiedyś rodzice mieli dom niecałe dwa kilometry od Dworu Parsonsów. Matka z trudem zносиła moją obecność, więc większość dzieciństwa spędziłam tutaj. Przeprowadziła się za miasto dopiero wtedy, gdy wyjechałam na studia. Gdy z nich zrezygnowałam, zamieszkałyśmy razem, aż nie stanęłam na własnych nogach, a moja kariera pisarska nie rozpoczęła się na dobre.

Gdy tak się stało, zaczęłam podróżować po kraju. Nigdy nie zatrzymywałam się na dłużej w jednym miejscu.

Babcia zmarła blisko rok temu. Choć w testamencie zapisała mi dom, smutek i żałoba powstrzymywały mnie przed wprowadzeniem się do niego. Aż do teraz.

W słuchawce rozległo się kolejne westchnienie.

– Po prostu wolałabym, żeby miasto, w którym się wychowałam, nie było szczytem twoich ambicji, skarbie. Zrób ze swoim życiem coś więcej. Nie trać go w tym domu, tak jak to zrobiła twoja babcia. Nie chcę, żebyś stała się tak samo bezwartościowa jak ona.

Czułam, jak gniew rozsadzał mi klatkę piersiową.

– Wiesz co, mamoo?

– Tak?

– Pierdol się.

Ze złością uderzałam palcem w ekran, dopóki nie usłyszałam charakterystycznego dźwięku świadczącego o tym, że rozmowa została zakończona.

Jak śmiała mówić o swojej własnej matce w taki sposób? Zachowywała się tak, jakby nie była kochana, jakby o nią nie dbano. Nie ma szans, żeby babcia traktowała ją tak źle, jak ona traktowała mnie.

Wypuściłam z siebie melodramatyczne westchnienie i wyrażałam przez boczną szybę. Dom dumnie piął się w górę. Wierzchołek czarnego dachu przecinał ponure chmury, wznosząc się nad zalesionym terenem, jakby chciał powiedzieć: „powinniście się mnie obawiać”. Zerknęłam przez ramię. Zbity gąszcz drzew wcale nie sprawiał bardziej przyjaznego wrażenia. Przerośnięte gałęzie rzucały pełznące po trawie cienie. Przypominały rozpostarte pazury.

Przeszedł mnie dreszcz. Byłam absolutnie zachwycona złowieszczą atmosferą. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to pamiętałam z dzieciństwa, a spoglądanie w niekończącą się ciemność przypominało mi o dokładnie ten sam dreszczyk emocji.

Dwór Parsonsów stał na klifie wychodzącym na zatokę. Prowadził do niego ponadkilometrowy podjazd ciągnący się przez pokryte gęstym lasem tereny. Nagromadzenie drzew skutecznie odcinało budynek od reszty świata, co dawało poczucie dogłębnej samotności.

Czasami miałam wrażenie, jakbym znajdowała się na innej planecie, całkowicie odcięta od cywilizacji. Nad całym obszarem unosiła się groźna, pełna smutku aura.

Jak ja to, kurwa, uwielbiałam.

Dom zaczął się już rozpadać, ale trochę wskazówek remontowych z TLC i będzie jak nowy. Pnącza zieleni otaczały go ze wszystkich stron, wspinając się ku gargulcom usytuowanym wzdłuż dachu rezydencji. Niegdyś smolista okładzina wyblakła do szarości i powoli odrywała się od ścian. Czarna farba wokół okien odpryskiwała jak tani lakier do paznokci. Weranda zaczęła ugiąć się z jednej strony, jakby błagała o profesjonalną pomoc.

Ogród rozpaczliwie dopominał się o podcięcie; żdźbła trawy były już prawie mojego wzrostu. Trzy akry polany zostały zdominowane przez chwasty. Mogłabym się założyć, że od czasu ostatniego koszenia zadomowiło się tu mnóstwo węży.

Nana lubiła równoważyć tę ciemną stronę dworu za pomocą kolorowych kwiatów. Każdej wiosny kwitły tu hiacynty, pierwiosnki, fiołki i rododendrony.

Jesienią wokół budynku rosły słoneczniki. Żółcie i pomarańcze ich płatków pięknie kontrastowały z czarnymi ścianami.

Mogłabym znowu stworzyć ogród przed domem, gdy tylko pora roku na to pozwoli. Tym razem zasadziłabym też truskawki, sałatę i zioła.

Byłam głęboko zatopiona w myślach, gdy mój wzrok nagle wychwycił jakiś ruch. W pojedynczym oknie u samej góry domu poruszyły się zasłony.

Strych.

Z tego, co wiedziałam, nie było tam żadnego przepływu powietrza. Nic nie powinno być w stanie poruszyć tych zasłon, a mimo to nie wątpiłam w to, co zobaczyłam.

W połączeniu ze zbliżającą się od tyłu burzą, Dwór Parsonsów tworzył obrazek rodem z horroru. Zassałam dolną wargę, niezdolna do powstrzymania uśmiechu.

Byłam zachwycona.

Nie potrafiłam wyjaśnić dlaczego, ale tak właśnie było.

Pieprzyć moją matkę. Zamierzałam tu zamieszkać, czy jej się to podobało, czy nie. Byłam odnoszącą sukcesy pisarką i mogłam żyć tam, gdzie tylko mi się podobało. I co z tego, jeśli postanowiłam spędzić życie w miejscu, które wiele dla mnie znaczyło? Pozostanie w rodzinnej miejscowości nie robiło ze mnie życiowego przegrywa. Podróżowałam wystarczająco dużo ze względu na spotkania autorskie i konferencje, a to, że zdecydowałam się osiaść w rodzinnym domu, nie miało tego zmienić.

Wiem, czego chcę, do kurwy nędzy. I mam w dupie, co myślą na ten temat inni.

A już szczególnie ukochana mamusia.

Chmury ziewnęły leniwie, a spomiędzy nich wydobyły się pierwsze krople. Chwyciłam torebkę i wysiadłam z samochodu, wdychając zapach deszczu. W ciągu kilku sekund przeszedł od mżawki do gwałtownej ulewy. Rzuciłam się w stronę frontowych schodów, u szczytu których otrzepałam się z wody niczym mokry pies.

Kochałam burze, ale niezbyt lubiłam znajdować się w ich środku. Wolałam spędzać ten czas pod kocykiem, z kubkiem herbaty, książką i ogłosami deszczu w tle.

Włożyłam klucz do zamka, a następnie go przekreśliłam. Ani drgnął. Zaczęłam walczyć z drzwiami, aż w końcu mechanizm puścił i byłam w stanie je otworzyć.

Kolejna rzecz do naprawy w najbliższej przyszłości.

Powitął mnie chłodny powiew. Zadrżałam pod wpływem mieszanki lodowatego deszczu, który wciąż czułam na skórze, oraz zimnego, stęchłego powietrza. Wnętrze domu spowijał mrok. Słabe światło wpadało jeszcze przez okna, stopniowo przygasając razem ze znikającym za ciemnymi chmurami słońcem.

Chyba powinnam była zacząć tę historię od: „to była ciemna, burzowa noc...”.

Podniosłam wzrok i uśmiechnęłam się na widok czarnego, poprzedzielanego żebrami sufitu. Składał się z setek cienkich, długich desek. Nad głową wisiał mi okazały żyrandol. Połączana stalowa konstrukcja wykrzywiona według misternego projektu, ze zwisającymi z samych koniuszków kryształkami. Najcenniejszy skarb babci.

Podłoga w czarno-białą szachownicę prowadziła prosto do efektownych czarnych schodów – na tyle dużych, by dało się nimi wnieść pianino – a następnie znikwała w salonie. Buty otarły się przeciągle o płytki i zapiszczały, gdy zapuściłam się głębiej.

Cały parter był jedną wielką, otwartą przestrzenią i robił wrażenie, jakby monstrualność tej budowli mogła połączyć w całości niczego niepodważającego gościa.

Część mieszkalna znajdowała się na lewo od schodów. Zaciśnęłam usta i rozejrzałam się wokół, otulona falą nostalgii. Każda możliwa powierzchnia była pokryta kurzem, a wewnątrz zdominował swąd naftalinowych kulek na mole; mimo to wszystko wyglądało dokładnie tak jak wtedy, gdy byłam tu po raz ostatni. Tuż przed śmiercią Nany.

W centrum salonu, przy lewej ścianie, stał ogromny kominek z czarnego kamienia. Wokół były ustawione w formie kwadratu czerwone, aksamitne kanapy. Między nimi stał zdobiony drewniany stolik z pustą wazą na środku ciemnego blatu. Babcia zawsze napełniała ją liliami. Teraz jedyną funkcją tego naczynia było zbieranie kurzu i martwych much.

Ciężkie, złote zasłony kontrastowały z czarnymi tapetami ściennymi z ornamentowym wzorem „paisley”, bazującym na kształcie łezki.

Jednym z moich ulubionych elementów tego miejsca było ogromne okno wykuszowe z przodu domu, z pięknym widokiem na rozciągający się wokół Dworu Parsonsów las. Tuż przed nim stał bujany fotel pokryty czerwonym aksamitem, a obok dopasowany taboret. Babcia lubiła tutaj przesiadywać i obserwować deszcz. Mówiła, że jej matka też tak robiła.

Szachownica ciągnęła się dalej, w stronę kuchni z czarnymi, fornirowanymi szafkami i marmurowymi blatami. Na środku stała ogromna wyspa z ustawionymi wzdłuż jednej krawędzi czarnymi stołkami barowymi. Siadywaliśmy tu z dziadkiem i obserwowaliśmy babcię, gdy gotowała. Zawsze nuciła pod nosem w trakcie przygotowywania przepysznych posiłków, co niezmiennie nas cieszyło.

Otrząsnęłam się ze wspomnień, podbiegłam do stojącej obok bujanego fotela wysokiej lampy i włączyłam światło. Żarówka

rzuciła ciepłą poświatę, a ja odetchnęłam z ulgą. Kilka dni temu telefonowałam z prośbą, by włączono wszelkie usługi komunalne, ale z tak starymi domami nigdy nie można było być niczego pewnym.

Gdy podeszłam do termostatu, moim ciałem wstrząsnął kolejny dreszcz.

Szesnaście jebanych stopni.

Przycisnęłam palec do górnej strzałki i nie puszczałam, dopóki liczba nie zmieniła się na dwadzieścia trzy. Nie miałam nic przeciwko niższym temperaturom, ale wolałabym nie poprzecinać sobie sutkami wszystkich ubrań.

Odwrociłam się i stanęłam twarzą w twarz z domem, który był stary i nowy jednocześnie. Z domem, który miał moje serce, odkąd tylko pamiętałam, nawet jeśli moje ciało na jakiś czas go opuściło.

A potem się uśmiechnęłam, rozkoszując gotyckim splendorem dworu. To moi pradziadkowie byli odpowiedzialni za wystrój. Ich poczucie stylu wędrowało z pokolenia na pokolenie. Nana zawsze chciała być najjaśniejszym elementem każdego pomieszczenia. Mimo wszystko wciąż miała jednak dość babciny gust.

Jakby, serio. Dlaczego te małe ozdobne poduszeczki mają koronkę wokół i do tego jakiś dziwny bukietek wyhaftowany na samym środku? Fuj.

Westchnęłam.

– Wróciłam, babciu. Tak jak chciałaś – wyszeptałam w martwą ciszę.



– Gotowa? – zapytała moja osobista asystentka, stając obok.

Spojrzałam na Mariettę. Wyciągała do mnie mikrofon, ale uwagę miała skupioną na wciąż napływających do małego budynku ludziach. Zdecydowanie nie wybudowano tej księgarni

z myślą o dużych grupach odwiedzających, ale mimo to dobrze sobie radziła.

Ludzie tłumnie pakowali się w ciasną przestrzeń, a następnie ustawiali w jednej linii. Czekali, aż rozpocznie się podpisywanie. Przebiegłam oczami po zgromadzonych, licząc w głowie. Zgubiłam się po trzydziestu.

– Tak – odpowiedziałam krótko.

Chwyciłam za mikrofon. Szmery rozmów ucichły, poczułam wbite w siebie dziesiątki par oczu, a do policzków uderzył mi gorąc. Cała sytuacja przyprawiała mnie o dreszcze, ale kochałam swoich czytelników, więc musiałam dać z siebie wszystko.

– Zanim zaczniemy, chciałam bardzo wam wszystkim podziękować za przybycie. Bardzo, bardzo to doceniam i cieszę się na spotkanie z każdym z was. Gotowi?! – zapytałam, zmuszając się do tego, by brzmieć na podekscytowaną.

To nie tak, że taka nie byłam. Po prostu miałam skłonność do dość niezręcznych sytuacji w czasie podpisywania książek. Kontakty międzyludzkie nie przychodziły mi łatwo. Byłam tym typem człowieka, który po usłyszeniu pytania wpatrywał ci się prosto w oczy z zastygłym na twarzy uśmiechem, podczas gdy jego mózg powoli przetwarzał fakt, że nawet nie usłyszał wypowiedzianych słów. Na ogół działo się tak przez zbyt głośno pulsującą w żyłach krew.

Usiadłam na krześle i przygotowałam pisak. Marietta rzuciła szybkie „powodzenia” i pobiegła zająć się czymś innym. Była świadkiem niejednej mojej wpadki z czytelnikami i za każdym razem wewnętrznie umierała z zażenowania. Jeden z minusów reprezentowania społecznego wyrzutka.

Wracaj, Marietta. Jest o wiele fajniej, gdy nie muszę wstydzić się za siebie sama.

Czas na czytelniczkę numer jeden. Podeszła do mnie z *Tu-laczem* w rękach i szerokim uśmiechem na upstrzonej piegami twarzy.

– O mój Boże, tak się cieszę, że mogę cię poznać! – wykrzyknęła, praktycznie wpychając mi książkę w twarz. Zagrywka totalnie w moim stylu.

Odpowiedziałam równie szerokim uśmiechem i wzięłam od niej książkę.

– Ciebie również super poznać. I hej, witam członkinię Klubu Piegusków! – Wskazałam palcem na nasze twarze, na co zaśmiała się niezręcznie i dotknęła palcami swoich policzków. *Jezu, Addie, a co, jeśli ona ma kompleksy na tym punkcie? Ale z ciebie idiotka.* Szybko wyplułam kolejne słowa, zanim zdążyłyśmy utknąć na temacie stanu skóry. – Jak masz na imię?

– Megan – odpowiedziała, po czym je przeliterowała.

Trzęsącą się dłonią starannie zapisałam imię i krótkie podziękowania. Podpis był dość chwiejny, co adekwatnie oddawało całe moje istnienie.

Wręczyłam jej książkę, szczerze się uśmiechnęłam i podziękowałam.

Gdy podszedł do mnie kolejny czytelnik, poczułam nagle napięcie.

Ktoś mnie obserwuje.

Niesamowicie głupia myśl, zważywszy na to, że wszyscy mnie obserwowali.

Wyszczерzyłam zęby do stojącej przede mną osoby, ale usilnie ignorowane wrażenie jedynie zyskiwało na intensywności. Zupełnie jakby ogień zjadał mnie żywcem. Nigdy... nigdy nie czułam czegoś takiego. Włoski z tyłu karku stanęły dęba, policzki zaszczyły krwią.

Jedna część mnie była skoncentrowana na podpisywaniu książki i podekscytowanym czytelniku, druga na tłumie. Subtelnie skanowałam księgarnię w próbie odnalezienia źródła odczuwanego dyskomfortu, w taki sposób, by nie stało się to oczywiste.

Wzrok sam zatrzymał się na stojącej na tyłach osobie. Konkretnie na mężczyźnie. Ludzie zasłaniali większość jego ciała. Spomiędzy przerw między głowami zgromadzonych mogłam dostrzec tylko fragmenty twarzy, ale to, co zobaczyłam, było wystarczające. Dłoń znieruchomiła mi w trakcie podpisywania.

Te oczy. Jedno ciemne, bezdenne, jakbym spoglądała do środka studni. Drugie lodowato błękitne, tak jasne, że niemal białe. Przypominały mi ślepiea husky'ego. Blizna przecinała pozbawione koloru oko, jakby samo w sobie nie przyciągało uwagi.

Chrząknięcie. Podskoczyłam w miejscu i ponownie skupiłam się na leżącej przede mną książce. Przyciskany do kartki pisak zdążył wytworzyć sporą czarną plamę.

– Przepraszam – wymamrotałam, szybko kończąc podpis.

Sięgnęłam po zakładkę, ją również podpisałam, po czym włożyłam do książki w ramach przeprosin. Czytelniczka uśmiechnęła się do mnie promiennie, już o wszystkim zapomniawszy, po czym oddaliła się razem ze swoją książką.

Gdy podniosłam wzrok, by odnaleźć mężczyznę, już go nie było.



– Addie, potrzebujesz bolca.

W odpowiedzi zacisnęłam usta wokół rurki i głośno zassałam borówkowe martini. Nie przestałam, dopóki fizycznie nie miałam już miejsca w buzi. Daya, moja najlepsza przyjaciółka, nie spuszczała ze mnie wzroku. Wnosząc po tym, jak uniosła brew, nie była pod wrażeniem. Kończyła jej się też cierpliwość.

Potrzebuję większej buzi. Zmieściłoby się w niej więcej alkoholu.

Nie powiedziałam tego na głos. Dałabym sobie lewy pośladek uciąć, że poradziłaby mi, żebym lepiej spróbowała zmieścić w niej coś innego. Na przykład większego kutasa.

Wciąż ssałam, więc wyciągnęła rękę i wyrwała mi rurkę z ust. Dotarłam do dna jakiejś piętnaście sekund temu i tylko wciągałam powietrze. Ostatnio moje policzki musiały się tak napracować dobry rok temu.

– Hej, hej, przestrzeń osobista – burknęłam, odkładając szklanke.

Rozejrzałam się za kelnerką. Przez cały czas starannie unikałam wzroku Dayi. Chciałam zamówić kolejnego drinka. Im szybciej rurka na nowo znajdzie się w moich ustach, tym szybciej będę mogła kontynuować ignorowanie tematu rozmowy.

– Nie graj na czas, suko. Ssiesz w tym.

Nasze oczy się spotkały. Minęła sekunda. Obie parsknęłyśmy śmiechem.

– Widocznie w poszukiwaniach bolca też sse – stwierdziłam, gdy się uspokoiłyśmy.

Spojrzała na mnie, jakby wyrosła mi druga głowa.

– Miałś mnóstwo okazji, po prostu z nich nie korzystasz. Masz dwadzieścia sześć lat, jesteś seksowną laską z piegami, świetnymi cyckami i tyłkiem, za który mogłabym zabić. Mężczyźni tylko czekają na twój znak.

Wzruszyłam ramionami w nadziei, że prędzej czy później zabiję tak tę rozmowę. Tak naprawdę częściowo miała rację – przynajmniej w sprawie posiadania opcji. Zwyczajnie nie byłam zainteresowana. Wszyscy mnie nudzili. Ciągle tylko „co masz na sobie”, „chcesz dziś wpaść” albo puszczające oczko minki o pierwszej w nocy. *Mam na sobie te same dresy, w których chodzę od tygodnia. W kroczu pojawiła się tajemnicza plama. I nie, nie chcę nigdzie „wpaść”. Ja pierdolę.*

Daya wyciągnęła rękę w geście oczekiwania.

– Daj mi swój telefon.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Chyba cię pojechało.

– Adeline Reilly. Daj mi. Swój. Pieprzony. Telefon.

– Bo co? – rzuciłam drwiąco.

– Bo rzucę się przez stół, narobię ci wstydu, a potem i tak zrobię to, co chcę.

Wreszcie udało mi się odnaleźć naszą kelnerkę. Zaczęłam do niej energicznie machać. Byłam w desperacji. Dziewczyna szybko do nas podbiegła, pewnie myśląc, że znalazłam włos w jedzeniu, podczas gdy jedynym moim problemem była nadgorliwa przyjaciółka.

Kontynuowałam granie na czas poprzez prośbę o polecenie najlepszego drinka. Gdyby nie miała innych stolików do obsłużenia, przejrzałabym menu po raz drugi. W tej sytuacji nie chciałam być jednak niemila. Finalnie zdecydowałam się na truskawkowe martini, zamiast tego o smaku zielonego jabłka, a kelnerka ponownie zniknęła.

Westchnęłam.

Podalam Dayi telefon, uderzając nim we wciąż wyciągniętą dłoń ze zdecydowanie zbyt dużą ilością siły. Chciałam podkreślić skalę swojej frustracji. Dziewczyna wyszczerzyła triumfalnie zęby, a następnie zaczęła coś w nim stukać. Z każdą sekundą zawadiacki błysk w jej oku jedynie zyskiwał na sile. Kciuki poruszały się w takim tempie, że złote pierścionki, które na nich nosiła, zaczęły mi się niemal zlewać w całość.

Szałwiowe oczy lśniły złem rodem z *Biblii Szatana*. Jeśli tylko bym się w nią odpowiednio zagłębiła, z pewnością znalazłabym tam jej zdjęcie. Seksbomba o ciemnobrązowej karnacji, czarnych, prostych włosach, ze złotym kółkiem w nosie? Pewnie była sukubem czy czymś w tym stylu.

– Do kogo piszesz? – jęknęłam.

Byłam na granicy tupnięcia nóżką niczym małe, bezsilne dziecko. Choć się powstrzymałam, zbliżałam się niebezpiecznie do chęci wyzwolenia swojego lęku społecznego i zrobienia czegoś szalonego, typu odjebanie wielkiej dramy w samym środku restauracji. To, że piłam już trzecie martini i czułam przyływ odwagi, raczej nie pomagało.

Uniosła wzrok, zablokowała telefon i podała mi go kilka sekund później. Od razu go odblokowałam i zaczęłam przeglądać wiadomości. Raz jeszcze głośno jęknęłam, gdy zobaczyłam, że postanowiła wysłać wiadomość do Greysona. I to pikantną.

– „Wpadnij dzisiaj i wyliz mi cipkę. Mam ochotę na twojego ogromnego kutasa” – przeczytałam beznamiętnie na głos.

To nie był koniec. Ciąg dalszy opowiadał o tym, jak podniecona się czułam i jak to dotykałam się każdej nocy na samą myśl o nim... Warknęłam i spiorunowałam przyjaciółkę wzrokiem. A przynajmniej się starałam. Co z moją twarzą nie do końca mogło się udać.

– Nie napisała bym czegoś takiego! – narzekałam. – To nawet nie brzmi jak ja, ty suko.

Daya zarechotała. Malutka przerwa między przednimi zębami była na pełnym widoku.

Naprawdę jej nienawidziłam.

Telefon zawibrował. Dziewczyna praktycznie podskakiwała w miejscu, podczas gdy ja rozważałam znalezienie adresu mailowego ludzi od *1000 sposobów na śmierć*, żeby móc im podesać nową historię.

– Odczytaj – rozkazała.

Jej szybkie rączki już sięgały po telefon, żeby zobaczyć, co odpisał. Przyciągnęłam go do siebie, po czym otworzyłam wiadomość.

GREYSON: Już myślałem, że nigdy nie pójdziesz po rozum do głowy. Będę o 20:00.

– Nie wiem, czy ci to kiedykolwiek mówiłam, ale naprawdę cię, kurwa, nienawidzę – wyburczałam, posyłając w jej stronę kolejne gniewne spojrzenie.

Uśmiechnęła się i upiła łyk drinka.

– Też cię kocham, słonko.



– Kurwa, Addie. Tęskniłem – wydyszał mi w szyję, ocierając się o mnie przy ścianie.

Rano na bank będę miała posiniaczoną kość ogonową.

Przewróciłam oczami, gdy znowu przyssał się do mojej skóry. Potem poczułam go między udami i jęknęłam.

Uznałam, że muszę wziąć się w garść i trochę wyżyć, więc nie odwołałam spotkania z Greysonem, mimo że bardzo tego wtedy chciałam. Mimo że nadal tego chciałam. Już dawno zdążyłam pożałować swojej decyzji.

W chwili obecnej przyciskał mnie do ściany w moim upiornym korytarzu. Staromodne kinkiety rozpościerały się wzdłuż krwiście czerwonych ścian pełnych zdjęć rodzinnych, które upamiętniały całe pokolenia. Miałam wrażenie, że wszyscy obserwowali mnie z pogardą i rozczarowaniem. Mimowolnie świadkowie tego, jak ich potomkini miała zaraz zostać zerznięta na ich oczach.

Tylko niektóre z żarówek działały, a ich jedyną funkcją było oświetlanie pajęczyn, którymi były pokryte. Reszta korytarza całkowicie gineła w mroku, a ja tylko czekałam, aż wyłoni się z niego demon z *Klątwy*. Przynajmniej miałabym wymówkę, żeby uciec.

Na tym etapie po prostu podstawiałabym Greysonowi nogę. Nawet nie było mi wstydu.

Mruczał mi do ucha różne brzydkie słowa. Przyglądałam się z uwagą wiszącemu nad nami kinkietowi. Wspominał kiedyś, że bał się pajaków. Może mogłabym dyskretnie sięgnąć do góry, wyciągnąć jednego z pajęczyny i włożyć mu go za koszulkę...

Spieprzałby, aż miło. I pewnie byłby też zbyt zażenowany, żeby jeszcze kiedyś się do mnie odezwać.

Same plusy, zero minusów.

Gdy już miałam to zrobić, Greyson nagle się oderwał i dyszał przez francuskie pocałunki z moją szyją. Wyglądało to tak, jakby cały ten czas czekał, aż ta w końcu mu odpowie i też go polize.

Jego miedziane włosy były zwichrzone przez moje palce, a blada skóra zarumieniona.

Taka dola rudych. Czy coś.

W kwestii wyglądu Greysonowi naprawdę niczego nie brakowało. Był piekielnie seksowny, miał piękne ciało i zabójczy uśmiech. Szkoda, że nie potrafił pieprzyć, a z charakteru był skończonym dupkiem.

– Przenieśmy to do sypialni. Muszę być w tobie.

Wewnętrznie przeszły mnie ciarki zażenowania. Zewnętrznie... też przeszły mnie ciarki zażenowania. Próbowałam to zatuszować poprzez ściągnięcie koszulki. Pod kątem długości koncentracji uwagi przypominał beagle'a. Tak jak podejrzewałam, od razu zapomniał o mojej małej wpadce. Był zbyt zajęty intensywnym wgapieniem się w moje cycki.

Akurat co do tego Daya się nie myliła. Miałam świetne cycki.

Sięgnął do góry, by ściągnąć mi stanik – gdyby go zerwał, dostałby w twarz – po czym zastygł. Przerwał nam rozchodzący się z parteru hałas.

Dźwięk był tak głośny i tak niespodziewany, że sapnęłam z walącym w piersi sercem. Nasze spojrzenia spotkały się w pełnym zaskoczenia milczeniu. Ktoś właśnie walił pięścią w drzwi wejściowe i nie brzmiał na przyjaźnie nastawionego.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytał Greyson.

Ręka opadła mu wzdłuż ciała. Wydawał się sfrustrowany.

– Nie – odpowiedziałam na wydechu.

Szybko włożyłam na siebie koszulkę – przodem do tyłu – i pobiegłam w dół skrzypiących schodów. Zerknęłam przez

okno obok drzwi: ganek był pusty. Zmarszczyłam brwi. Firanka opadła na swoje miejsce, a ja stałam przed drzwiami. Czułam, jak nocna cisza otacza sobą dwór.

Greyson stanął obok i spojrzał na mnie ze zdezorientowaniem.

– Eee... Nie otworzysz? – zapytał głupio, wskazując na drzwi.

Prawie podziękowałam mu za wskazanie kierunku, ale się powstrzymałam. Coś w tym pukaniu sprawiło, że w głowie zapaliła mi się czerwona lampka. Brzmiało na agresywne. Gniewne. Jakby włożono w nie całą siłę.

Prawdziwy mężczyzna w takiej sytuacji otworzyłby te drzwi za mnie. Zwłaszcza że byliśmy otoczeni gęstym lasem, a od bolesnego upadku do wody dzieliło nas jakieś trzydzieści metrów.

Ale Greyson tylko patrzył na mnie wyczekująco. I trochę tak, jakby wątpił w moje zdolności umysłowe. Prychnęłam, odblokowałam drzwi, po czym otworzyłam je na oścież.

Nikogo nie było.

Wyszłam na ganek. Gnijące deski zatrzeszczały pod moim ciężarem. Zimny wiatr poruszył moimi włosami o kolorze cynamonu. Kosmyki załaskotały mnie w twarz, posyłając dreszcze wzdłuż ciała. Pokryta gęsią skórką założyłam włosy za uszy i poszłam na drugi koniec ganku. Wychyliłam się przez barierkę. Ani śladu.

Po drugiej stronie domu też nikogo nie było.

Ktoś mógłby z łatwością obserwować mnie z lasu, ale było zbyt ciemno, bym mogła cokolwiek dostrzec. Musiałabym tam pójść i sama się przekonać.

Uwielbiałam horrory, ale nie planowałam w żadnym zagrać.

Greyson dołączył do mnie na ganku. Przeszukiwał wzrokiem teren.

Ktoś mnie obserwował. Czułam to. Byłam tego tak pewna, jak istnienia grawitacji.

Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi dreszcz, a wraz z nim napełnił mnie przyływ adrenaliny. Zupełnie jakbym oglądała strasz-

ny film. Zaczynało się od przyspieszonego bicia serca, potem uczucia ciężkości na żołądku, które finalnie przesiąkało w same kości. Przeniosłam ciężar z nogi na nogę. Nie czułam się zbyt komfortowo.

Wypuściłam powietrze nosem, wróciłam do domu i pospieszyłam schodami na górę. Greyson szedł za mną. Nie zauważyłam, że był w trakcie rozbierania się, dopóki nie wszedł za mną do sypialni. Gdy się odwróciłam, był zupełnie nagi.

– Poważnie? – syknęłam.

Co za pierdolony idiota. Ktoś właśnie walił w moje drzwi, jakby za coś się na nich mścił, a ten dupek był gotowy wrócić do tego, na czym nam przerwano. Czyli do ślinienia i ssania mojej szyi, jakby była foremką, z której usiłował wysiorbać galaretkę.

– No co? – zdziwił się, rozpościerając szeroko ramiona.

– Nie słyszałeś tego co ja? Ktoś właśnie dobijał się do moich drzwi. Było to dość przerażające. Nie jestem teraz w nastroju na seks – tłumaczyłam jak skończonemu debilowi.

Gdzie się podziiali dżentelmeni? Ktoś normalny chyba zapytałby mnie najpierw, czy wszystko w porządku. Sprawdził, jak się czuję. Może nawet upewniłby się, że się uspokoiłam i zre-laksowałam. I dopiero wtedy spróbowałby wepchnąć we mnie penisa.

Używanie mózgu nie boli.

– Mówisz serio? – zapytał z gniewem w brązowych oczach.

Były w kolorze gówna. Tak samo gówniane, jak jego gówniana osobowość i gówniany styl pieprzenia. Wił się jak jebana ryba wyrzucona na brzeg. Równie dobrze mógłby się po prostu położyć nago na targu rybnym – tam najprędzej znalazłby kogoś potencjalnie zainteresowanego. Ja zdecydowanie taka nie byłam.

– Tak, mówię serio – warknęłam.

– Ja pierdołę, Addie.

Ze złością chwycił za skarpetkę, po czym ją włożył. Wyglądał komicznie: całkowicie nagi, z jedną skarpetką na stopie. Resz-

ta ubrań leżała rozrzucona po korytarzu. Wypadł z pokoju, po drodze zbierając kolejne ciuchy. Gdy był już w połowie drogi, zatrzymał się nagle, odwrócił i spojrzał na mnie.

– Jesteś taką suką, Addie. Ciągłe mnie zwodzisz. Jaja już mnie przez ciebie bolą i mam tego dość. Kończę z tobą i tym pierdolonym upiornym domem – wysyczał, wskazując na mnie palcem.

– A ty jesteś dupkiem. Wypierdalaj z mojego domu, Greyson.

Najpierw rozszerzył w szoku oczy, a potem zmrużył je do cienkich szparek. Tryskały furia. Odwrócił się i zamachnął pięścią. Sapnęłam, gdy zobaczyłam, jak połowa ręki znika mu w ścianie. Szczęka opadła mi w niedowierzaniu.

– Skoro w twoją nie wsadzę, stworzyłem sobie własną dziurkę. Powodzenia w naprawianiu tego, suko – splunął.

Wymaszerował z korytarza w jednej skarpetce i z ramionami pełnymi ubrań.

– Ty chuju! – wrzasnęłam w drodze do właśnie stworzonej przez niego dziury.

Chwilę później usłyszałam trzaśnięcie drzwiami.

Miałam nadzieję, że tajemniczy nieznajomy wciąż kręcił się w okolicy.

Właśnie na taką śmierć zasługiwał Greyson – w jednej jebanej skarpetce.

4 kwietnia 1944 roku

Za moim oknem jest jakiś obcy mężczyzna.

Nie wiem, kim jest i czego ode mnie chce. Ale wydaje mi się, że mnie zna. Przygląda mi się przez okna, gdy Johna nie ma w domu. Nosi cylinder, przez co nie mogę zobaczyć jego twarzy. Próbowałam do niego podejść, ale za każdym razem ucieka.

Nie powiedziałam o tym Johnowi. Nie wiem dlaczego, ale coś powstrzymuje mnie przed otwarciem ust i przyznaniem, że jestem obserwowana przez obcego mężczyznę. John nie przyjąłby tego dobrze. Zapaściłby się w las ze swoją strzelbą i próbował go znaleźć.

Muszę przyznać, że martwię się o to, co stałoby się z moim gościem, gdyby mu się to udało.

Bardzo boję się tego człowieka.

Ale, na Boga, jestem zaintrygowana.